

P L O M Y K

tygodnik ilustrowany
dla dzieci i młodzieży

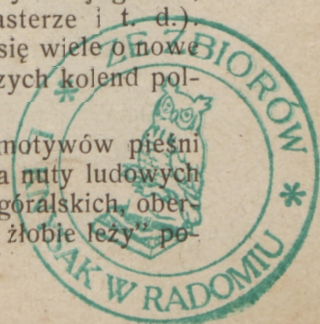
KOLENDY.

Wśród zwyczajów, związanych z Bożem Narodzeniem, zawsze i wszędzie, podczas nabożeństw w świątyniach i w naszych domach, kiedy rodziny zbierają się około stołu wigilijnego, przewija się barwna i radosna nić pieśni — kolendy.

Kolendy w Polsce śpiewane są oddawna. W XIII-ym wieku, z przybyciem na nasze ziemie zakonu Franciszkanów, wprowadzone zostały kolendy, pastorałki i przedstawienia religijne, opiewające dzieje narodzenia Chrystusa Pana, które czasem przemieniły się w dziś jeszcze znane jasełka. Trzeba wiedzieć bowiem, że te misterja religijne wprowadził w życie wielki święty biedaczek, Franciszek z Assyżu, chcąc w ten sposób pobudzić u współczesnych sobie większą gorliwość religijną. W misterjach tych brał udział tłum pobożnych, który chwalił Pana Zastępów pieśniami — kolendami.

Pierwsza kolenda polska, zaczynająca się od słów: „Zdrów bądź, Królu Anielski, k'nam na świat w ciele przyszły”, znaną jest od 1424 roku. Ale dopiero kolendy, powstałe w XVI-ym wieku, w pokażnej liczbie przetrwały i są śpiewane po dzień dzisiejszy. Wtedy też powstają pierwsze polskie kantyczki. Większość kolend rodzi się — i melodie i teksty — wśród ludu wiejskiego, nie znaczy to, by i poeci dawnych czasów nie próbowali swego talentu w układaniu tekstu do melodj kolendowych. Wymienić tu wystarczy Grochowskiego, Miaskowskiego, no, i naszego Jana z Czarnolasu, który pozostawia w swej bogatej poetyckiej spuściźnie kolendę „Na nowe lato”. W wieku XVII — około 1631 r. — wychodzi u nas zbiór 36 kolend p. t. „Symphonie anielskie”, z których kilka jest i dziś jeszcze śpiewanych („Przy onej górze”, „A wczora z wieczora”, „Przybieżeli do Betleem pasterze i t. d.). W XVIII-ym wieku zbiór kolend polskich nie wzbogacił się wiele o nowe pieśni, ale wtedy ułożył Karpiński, jedną z najpiękniejszych kolend polskich: „Bóg się rodzi”.

Melodie naszych kolend są głównie czerpane z motywów pieśni i piosenek ludowych. Często też usłyszeć w nich można nuty ludowych tańców, jak poloneza, mazurków, krakowiaków, tańców góralskich, ober-tasów, kujawiaków i t. p. Np. znana kolenda nasza „W żłobie leży” po-



wstała jeszcze w XVI-ym wieku, osnuta jest na motywach poloneza, bardzo lubianego przez króla Władysława IV i jego dwór.

Tak, jak nasi poeci układali teksty kolend, tak też i znani kompozytorowie polscy, w swojej twórczości, mogą poszczycić się szeregiem pięknych, lubianych i znanych kolend, które również przeważnie są oparte na piosenkach ludu wiejskiego. Wystarczy wymienić tu tylko takich znanych kompozytorów, jak: Noskowski, Gall, Nowowiejski, Niewiadomski, Kazuro, Sołtys i wielu innych. Nie można też i o tem nie wspomnieć, że największy mistrz tonów — Szopen, zachwycając się kolendami, w swoim Scherzo h-mol (op. 20) użył kilku tonów znanej kolendy — „Lulajże Jezuniu”.

Jak lud wyobraża sobie narodziny Chrystusa, jak odczuwa wielkość tego momentu, w którym, nie tylko człowiek, ale zwierzęta i cała przyroda pełne są uwielbienia i pragnienia na swój sposób oddania hołdu Jezusowi maleńkiemu, niech wystarczy przytoczyć ustęp jednej z kolend:

Zając, siedząc z królikami,
bębniał swojemi nóżkami.
Wróble gwarzyły, gdy sobie podpily,
z dzierlatką, czeczotką.
Papuga też gaworzyła,
coś z cudzoziemska mówiła.
Żoła z indykiem była tam syndykem,
bażant był szafarzem,

paw ogon ślicznie rozłożył,
lecz sprośnym wrzaskiem wykroczył,
sęp siedział, jako sęp,
a jeleniowe zaś czoło,
na rogach mając świece wkolo,
tam wszystkim świeciło, aby jasno
było,
cieszyć się, cieszyć się i t. d.

Kolenda w Polsce stała się symbolem nie tylko naszego żywego przywiązania do wiary, ale symbolem rodziny polskiej, domu polskiego. Była ona, w czasach narodowej niewoli nadzieją dla polskiego emigranta w zamorskich krajach, dla samotnych i pozbawionych własnego dachu — otuchą i łącznikiem z macierzą, symbolem ogniska domowego. Kolenda jest prostym i szczerym wyrazem naszego ludu — jego wiary i miłości wszystkiego, co swoje, co polskie.

A. Olexiński.

PAMIĘTAJ, BŁAŻKU, O GŁODNYM PTASZKU!

Miał tatuś wolną godzinkę, poszedł z Błażkiem po choinkę.

— Pójdziemy na plac śródmieścia, jest tam choinek dwieście dwadzieścia.

Idą szaremi ulicami. Tu zapachy, tam zapaszki, tu benzyna, tam cebulowe zasmażki. Jak to w mieście. Przyszli na plac wreszcie.

A na placu, w środku miasta las wspaniały wyrasta. Starodrzew przy świerku, świerk przy choinie, żywiczny zapach zdaleka płynie. Tak



... w środku miasta las wspaniały wyrasta.

lekką oddychają płuca, wszystkie smutki z serca się wyrzuca. W oczach zielono, w sercu zielono. Każdy myśli:

— Kupię drzewko, pachnieć mi będzie ono.

Już stoi koło choinek dużo chłopców i dziewczynek. Stoją, patrzą, bo choinkę kupić nie tak łatwo. Ta ma czubek za wysoki, tamta nierówna boki, trzecia obleci prędko.

Mówi tatuś:

— Starodrzew kupię z wielką chęcią.

Dobrze. Kupili starodrzew. Ciągną do domu choinkę: tatuś za nóżkę, Błażek za czuprynkę. Człap, człap, drep, drep, jest już choinka w domu, pod oknem stoi, a Błażek ją stroi: tu łańcuszek, tam łańcuszek, a tam znowu pięć jabłuszek. Nagle ktoś w szybkę: puk, puk.

— Któżby to być mógł?

— To ja, wróbelasek, pamiętaj Błażku o wróbelasku! Jestem głodny i jak wiesz, chciałbym mieć choinkę też.

— Dobrze, dobrze, jak swoją ozdobię, pomyślę i o tobie.

Znów stroi Błażek choinkę: tu aniołek, tam aniołek, a tu gwiazda na wierzchołek.

Nagle ktoś w szybkę: puk, puk.

— Któżby to być mógł?

— To ja, stary pan zięba. Żonę z dziećmi do ciepłych krajów wysłałem, a sam tutaj zostałem, ale trudno zimę przetrwać. Pamiętaj, Błażku, o mnie, małym ptaszku. Jestem głodny i, jak wiesz, chciałbym mieć choinkę też.

— Dobrze, dobrze, jak swoją ozdobię, nie zapomnę i o tobie.

Znów stroi Błażek choinkę: tu orzeszek, tam orzeszek, a tam z niespodzianką mieszek.

Już gotowa choinka Błażkowa.

— A teraz, Błażku, zrób choinkę dla ptaszków!

— Dobrze!

Wziął Błażek kilka gałęzi, które trzeba było i tak z choinki odrąbać, powiesił na nich kilka główek czarnych makówek, kilka główek słoneczników i nasionka konopi i dyni, które miał schowane w skrzyni.

— Już gotowa choinka ptaszkowa! Teraz ku ptaszkowej uciesze za oknem ją powieszę.

Lucyna Krzemieniecka.

ŚNIEŻEK PADA...

Już późna godzina ranna, ale słonka nie widać na ziemi; zakryty jego blask chmurami buremi.

Dokolutka pusto wszędzie. Co to będzie? Co to będzie?

Ano... zima będzie!

Koło miedzy, na kamionkach zeszyły się dwa bliźniaki, zające szaraki.

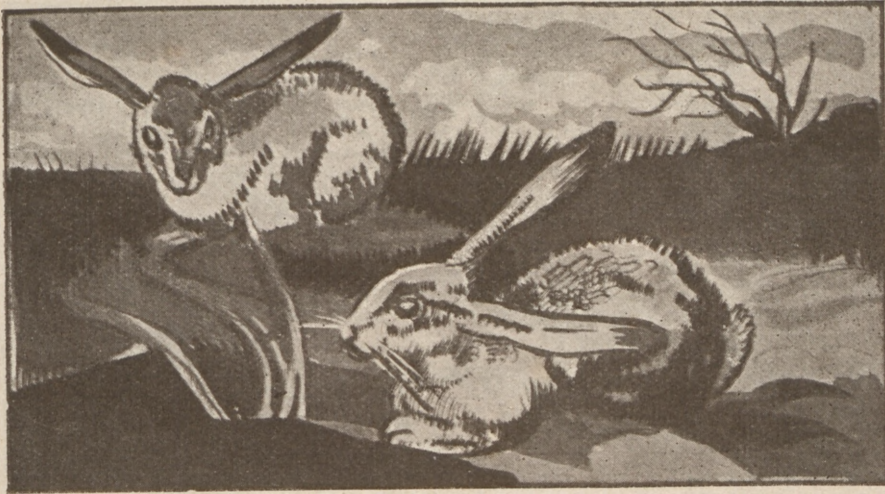
— Zła pogoda!

— O, zła pogoda!

— Ale cóż? Humoru zajęczego tracić szkoda. —

Poszły oba zające szaraki w koperczaki.

Długimi uszkami potrzęsają, wąsikami ruszają,



Skoczyły zajączki w oziminkę...

nózkami fikają
i tak się jeden drugiemu
przekomarzają:
— Co tu robisz, zajączku?
— Szukam, bracie, rzepy.
— Oj! toś ty chyba ślepy?
Rzepę zebrał święty Łukasz,
a ty w polu rzepy szukasz!
— Może przecież się została
jaka jedna rzepka mała?
Szukajmy jej oba wraz,
póki jeszcze czas!
Hop sa sa! Obertasa!
Fik mik! Fik mik! —
A kiedy tak zajączki na górceczce
fikają,
zbytkowały,
połem, drogą, bezdrożami,
sadem, łąką i lasami
leciał wiatr
Pędziwiatr!
I dał i dmuchał, ile w piersiach tchu:
— A hu! Hu hu!
Za wiatrem
Pędziwiatrem,
niby nic...
hyc-hyc-hyc...
skryto, cicho,
jak złe licho
stąpa... mróz Zamróz: tup, tup, tup!
Idzie, idzie chyżemi nogami,
dotyka wszystkiego mroźnemi palcami:

Skub! Skub! Skub!
— Uuu! Żle! Mroźno!
Położyły zajączki uszy po grzbiecie,
choć futerka mają ciepłe przęcie!
Odechciało im się tańca,
skakańca!
Wartoby brzuszek jedzeniem ogrzać,
podjeść suto i tłusto,
ale cóż?
W polu, na zagonkach pusto!
Lamentują szaraki
na czas zimowy taki:
— Z czego zając będzie tłusty?
Niema rzepki, ni kapusty!
Znikły gdzieś! Znikły gdzieś!
Niema marchwi, ni buraczka
dla zajączka nieboraczka.
Co tu jeść? Co tu jeść?
Niema trawki, ani listka,
aż się brzuszek z głodu ściska.
Oj to źle! Oj to źle!
Trzeba skoczyć w oziminkę,
pożywić się odrobinę
He he he! He he he!
Skoczyły zajączki w oziminkę,
już żdźbło zbożowe pyszczkiem
chwytają,
wtmem... słuchają...
i aż im ze zdumienia zbiełał nos —
żdźbło zbożowe krzyczy w głos:
— Oj! powoli,
bo boli!

Więc zajączki,
choć ledwo mogą mówić z nagłej
drzączki,
pytają: — Czy ty jesteś gadająca
roślinka?

A ona na to:

— Jak czasem.

Nazywam się... oziminka.

Ścisiej mówiąc, to jestem źdźbło
zimowej pszenicy.

Niech pan zajączek na mnie nie

ale mnie teraz jeść nie trzeba,
bo w lecie nie będzie chleba.

— Ba! kiedy nam się jeść chce,
bo mróz w brzuszki lechce.

— No, to się czem innym najecie

i kwita.

Bo trzeba wam wiedzieć, zajączki,
że pod lasem koło łączki,

ot, tam, nieco dalej,

dobrzy ludzie lubinu dla was na

nasiali.

— Co? tam dalej

ludzie dla zajączków lubinu rasiali?

Pocziwi ludziska!

Niechże im codzień jasne słonko

nasiali.

— No, głód zaspokojony.

Ale gorzej że wiatr i mróz

już dają nam się we znaki.

— Nietylko wam, szaraki.

I nami, źdźbłami, wiatr chwieje,

aż życie w nas truchleje.

Mróz się o nas ociera,

aż nasza zielona krew w nas zamiera.

I rośliny i zwierzęta, wszystkich nas

gnębi ten zimowy czas.

To prawda, co mówi źdźbło,

no bo

powiał ostry wiatr,
ścisnął srogi mróz,
drży ze strachu świat,
zima, zima tuż!

Jeży z trwogi sierść
biedny leśny zwierz,

oziminy drżą,

lękając się też.

Zimno, wietrzno wkrąg,

pustka wieje z pól.

Zstępuje na świat

mróz, głód, lęk i ból.

Ale zajączkom przychodzi do głowy,
że jeszcze gorzej będzie:

— Czy wiesz, oziminko,

słyszałem od starych zajączów,

że stanie się rzecz straszna:

śnieg upadnie wszędzie.

— Śnieg? A co to takiego?

czy coś bardzo złego?

— Ja myślę.

Starsze zające nie mówiły ściśle,

ale wiem, że to będzie białe,

małe i drobne wprzód,

a potem... ogromne...

i — zimne: brrrr!

a ma być tego w bród.

Przestraszyła się oziminka!

— Jakże się tego śniegu boję!

Ledwo na korzonkach stoję!

Bo jeśli wiatr i mróz dają nam się

we znaki,

to ten nieznajomy śnieg jakiś

na pewno gorzej nam dokuczy.

U u u!

Bu bu mmu!...

I wszyscy popłakali się rzewnie.

Wtem słychać ptasi głos:

— Cir, ćwir! A kto tu tak buczy?

Tak płacze?

Niechże zobaczą,

kto taki?

Aha, źdźbło zbożowe

i dwa zajączki szaraki.

A ja jestem gil w czerwonej kamizelce.

Miło mi wielce powiedzieć wam,

że przylatuję z obcych stron

do waszego kraju,

jak do rajy.

— Ależ u nas zima!

Mróz i jeść nic prawie niema!

— O ja się wszędzie pożywię,

gdy poszukam żywności uczciwie.

I wy też przecież

z głodu nie zginięcie...

— No taak... jest lubin,

są na gałązkach smaczne pączki...

— Ale, panie gilu — przerwało

źdźbło —

bo to

mówią te zajączki,

że... ach... pomyśleć strach!

Wymówić nawet jest szkaradnie...

że...

— Cir cir! Ze co?

— Że... śnieg na ziemię spadnie!

— Śnieg!!!

Więc cóż? To właśnie doskonale!

Śniegu nie trzeba bać się wcale.

Ś nieg? Ja go chwale!

— Ależ on nas zasypie,

zamrozi, zadreczy! —

słychać lament zajęczy.

Więc gil:



Sniegiem okryta i przyodziana ciepło...

— Niech młodziństwo tak nie jęczy.
Bo przeciwnie: śnieg w zimie
to rzecz doskonała.
Naprzykład dla roślinek istna kołderka
biała.

Gdy roślinki śnieg przykryje,
każda w ciepłe do wiosny przeżyje.
Ni wiatr, ni mróz
nie zrobi jej nic i już.
— No, to roślinki.
Ale my, zwierzęta?
Nam śnieg naprószy

w uszy!

— Cır fir! Wielkie mi rzeczy,
ale was przed zimnem zabezpieczy.

Sam jesteś młody,
ale zapytaj, zajączku, mamusi,
to ci powie,
że w kotlinie śniegowej
ciepło, jak w kolebusi:

nie poczujesz wiatru,
choć w będzie wiał.
Będzie ci ciepłutko w śniegu.
Będziesz sobie spał.

— Takie słowa słyszeć miło.
Dziękujemy, panie gilu, dziękujemy,
już nie płaczemy,
już skaczemy,
że nam się dobrze z śniegiem będzie
żyło.

Hop sa sa! Obertasa!
Hop hop!

Niechaj pada śnieżek biały,
niech okryje nasz świat cały!
Sypcie prędko śnieżne puchy! —
Zawołały zajączki szaraki
i dalej w koperczaki.

Gil rad
na góręczce sobie siadł
i powiada:
— Tak to lubię. Wiwat zuchy!
Ale patrzcie!
Już się obłoczek zbliża...

... zniża.

Zaraz i śnieg nam spadnie.
Lecą już, lecą śniegowe płatki,
a jak śpiewają ładnie!
Cyt! roślinki! zwierzęta, nastawcie
uszki,

słyszycie, co śpiewają
białe śniegowe duszki?

— Oj, już tu lecą śniegowe płateczki,
już lecą w nieba.

Wiedzą, że ciepłej pierzyneczki
dla ziemi trzeba.

Śpij sobie, ziemio, śpij nasza kochana
cicho cichutko.

Śniegiem okryta i przyodziana
ciepło ciepłutko.

Bądźcie spokojne, roślinki, zwierzęta,
dobrze wam będzie.

Śnieżek i o was też pamięta,
przez zimę wszędzie.

Już lecą, lecą śniegowe płateczki,
lecą tu z nieba.
Wiedzą, że ciepłej pierzyneczki
dla wszystkich trzeba.

I rzeczywiście, sypały się, sypały
śniegowe puchy czas niemały,
aż ziemię ubielili,
aż ją od wiatru i mrozu okryły.
Usnęły pod śniegiem zbożowe źdźbła
i śpią aż ha!

Oba zajączki nachrupały się
lubinu pod lasem

i też w kotłince śniegowej
chrapią z hałasem.

Tylko pan gil,
zimowy nasz gość w czerwonym
kubraku,
skacze po gałązkach głogowego
krzaku

i ćwierka i patrzy rad,
jak śniegowe płatki stroją świat:
— Cir fir! Zima! Zima!

Cieszcie się, dzieci!
Będą narty i saneczki:
Śnieżek z nieba leci!

E. Sz.-Zar.

10)

ZACZAROWANA LATARENKA.

Napisała Aleksandra Aniela Wolska.

Tak więc, jak matuchna kazała, postawiła Milada zaczarowaną latarenkę w pobliżu i czekała z Homirem ranka, kiedy to kneziowie po odpowiedź przyjsz mieli.

Przyszli. Ledwie słońce wzeszło. Słyszcząc głosy ich i kroki na schodach, księżniczka szybko-chybką do latarenki podbiegła i według przykazania matuchny, płaski rubin latarenki przekreśliła.

Zdarzył się wtedy dziw nad dziwy. Zdawało się księżniczce, że ciało jej zaczyna się kurczyć, staje się coraz lżejsze, mniejsze i nagle zmieniła się w malutką-maluteńką, do latarenki wskoczyła i drzwiczki za sobą zatrzasnęła. W latarence zapłonął wtedy ogień nieparzący - niegasnący i blask tęczy rozszedł się od niego dokoła. Kiedy księżniczka znikła, Homir szybko latarenkę schwycił, nad łóżem wychowanki powiesił i wybiegł cicho.

Gdy do komnaty wkroczył dumnie a szumnie kneź Sława z Witymem i kneziami, chcąc się przed wszystkimi szczęściem druha radować, księżniczki nie było. Zaczęto ją wołać — nawoływać, szukać — poszukiwać. Napróżno. Powstał krzyk i hałas nieopisany. Kneziowie ze Sławą do komnaty Homira wpadli, nie ruszyli go wprawdzie, widząc, że się modli, lecz wszystko, nawet skrzynie przetrzęśli, księżniczki szukający.

Szukali dzień, drugi, trzeci, w ogrodach, po lasach, pieczarach. Nie znaleźli. Sława i Witym włosy z głowy rwali, nagrody za znalezienie księżniczki obiecując. Z początku pomagali im kneziowie i lud, lecz gdy skończyły się światowidowe obchody, każdy wrócić musiał do swej pracy i domu. Rozeszli się więc, rozjechali, Witym również do swego grodu pociągnął, knezia Sławę samego zostawiając.

Chodził po zamku Sława w dzień i w nocy. A kiedy się zmęczony zmartwieniem, szukaniem, do komnaty Milady szedł, jakby go tam jakaś dziwna siła ciągnęła, na zydelku siał. Noc w noc w smętku-tesknicy spędzając, wpatrywał się w migocące światło latarenki, która cieszyła mu oczy swym płomyczkiem nieparzącym-niegasnącym. Siedział, wzdychał, słodkimi słowami córuchnę drogą wzywał, jakby ją czuł koło siebie.

Dalszy ciąg nastąpi.

ROZMAWIAŁA KASIA Z JASIEM.

— Dokąd jedziesz po tym śniegu,
braciszku Jasiu?

— A do lasu zielonego,
kochana Kasiu!
Jadę sobie na sarencę,
tam, gdzie sosna przy sosence
i smukły świerk.

— Cóż tam będziesz robić
w lesie,
braciszku Jasiu?

— Drzewko stamtąd się
przyniesie,

kochana Kasiu.
Łupu, cupu siekierczką
i wnet z piękną choineczką
przyjadę tu.

— A cóż ty z nią zrobisz
potem,

braciszku Jasiu?
— A postawię ją za płotem,
kochana Kasiu.

Różnościami ją obwieszę,
niechże się nią każdy cieszy,
kto tylko chce.

— A jakże ty ją ustroisz,
braciszku Jasiu?

— Ano, przy pomocy twojej,
kochana Kasiu.

Wiem, że jeśli mi pomożesz,
będzie drzewko stać na
dworze

w pobłyску gwiazd.
— A więc trzeba, bym

łańcuchy
srebrne skleiała?

— A i złote i czerwone,
Kasieniu miła.

Złote, srebrne i czerwone!
Będzie drzewko obwieszone
ze wszystkich stron.

— A chcesz, Jasiu, bym
rybki

złote zrobiła?

— I srebrzyste i zielone,
Kasieniu miła.

Złote, srebrne i zielone!
Hej, migotać będą one
na drzewku wkrąg!

— A chcesz, Jasiu, bym skleiała
gwiazdki i tęczę?

— I księżyców, półksiężyców
też jak najwięcej!

Do księżycy rogatego
przylep także Twardowskiego,
jeżeli chcesz.

— Wiesz, mam jeszcze rajskie
jabłka
w domu schowane?



Jadę sobie na sarencę...

— O, to zawieś je na drzewku,
Kasiu kochana.

Ja zaś króla mam Gwoździka,
co zrobiony jest z piernika,
to też go dam.

— Wiesz, mam jeszcze garść
cukierków
w domu schowaną!

— O, to zawieś je na świerku,
Kasiu kochana.

Ja zaś z cukru mam konika
(bardzo ładny, choć nie bryka),
to też go dam.

— A gdy już choinka błysnie
srebrem i złotem?

— To postawię ją umyślnie,
Kasiu, za płotem.

Przyjdą chłopcy i dziewczynki,
co nie mają swej choinki,
będą jabłka zajadali,
Twardowskiego oglądali
i konika, co nie bryka,
no i króla imć Gwoździka.

Ucieszą się.

Lucyna Krzemieniecka.

STARA I NOWA BAŚŃ.

Była zima. Wielośnieżna zima. Wiele śniegu rozsypała, wszystko w puch poutulała śniegowy. Dostały płoty czapy dziwnej roboty. Dostały opłotki śniegowe paltotki. A krzaki u dróżki — mieniące chustki, a świerki — białe sweterki, a sosenki — czapki i ciżemki. O nikim nie zapomniła zima, o nikim, rozesała po drogach lśniące, białe chodniki dla sań, saneczek, narciarzy, wreszcie dla kogo się zdarzy.

Po polach i lasach cisza się uczyniła wielka. Czasem słyhać gdzieś ćwierkanie wróbelka. Czasem dzięcioł przeleci przez leśne ustronie, lub doleczą ucha poswarki gawronie. A reszta wszystko śpi. Śpi niedźwiedź bury i borsuk ponury i jeż kolczaty i nawet wiewiórka nie wychodzi z dziupli, póki jej się orzechowy zapas nie uszczupli.

A wtem, nagle, nadstaw ucha? Słyszysz, ktoś idzie po śniegowych puchach. Kraśne czapki, kraśne butki... Tak, to z bajki krasnoludki. Krasnoludki z dawnej bajki, co to lubią palić fajki.

Jest ich niewielu: dziadek, syn i wnuczek. Uśmiechnięci idą prosto do celu, do małej sadzawki. Tam przystają, zawijają rękawki:

— Teraz chcemy, czy nie chcemy, przerębel ten przerąbiemy, tylko zwinnie, zgrabnie, składnie, bo rybki się duszą na dnie.

Uderza w lód siekierka, mała siekiereczka, dźwięczy krasnoludzia piosneczka:

— Rąbaj dynaj,
rąbaj dynaj,
tnij, siekierko,
i zacinaj.
Rozstąp-że się,
srogi lodzie,

bo tam siedzą
rybki w wodzie.
Rozstąp-że się,
ale szybko,
bo powietrza
trzeba rybkom!

kocie, kupione, schowane, zrobione przez dobre ciocie. Będzie choinka dla sierotki, jednej, drugiej, piętnastej, dla tej, co ma oczki bure, siwe, modre, czy też zieleniaste, dla tej, która ma głosik słodki, lub też grubym głosem krzyczy. Każda dostanie z choinki zabawkę i trochę słodyczy.

Pomalutku, pomalutku wracają dzieci, należące do „Związku dobrych krasnoludków”. Każde wraca do swego domu i tam może staremu dziadziowi, jak krasnoludki królowi, opowiada, lub też czyta z „Płomyka” bajkę o zimie, że była niby zima, zima wielośnieżna, że tak pięknie było na świecie i nie było nigdzie głodnych wróbli, ani bezdomnych dzieci.

— To naprawdę piękna bajka — zawołał król, któremu dogasała fajka. — Z tego jednak widzę, kochani krasnale, że dzieci mogą nas zastąpić i to nieźle wcale. A więc chodźcie teraz spać. Prześpiemy się trochę, choć ze sto lat. Zwłaszcza, że mi zmarła nóżka i chętnie pójdę do łóżka.

Lucyna Krzemieniecka.

15)

BURSZTYNOWY TALIZMAN.

Opowiadanie z czasów dzisiejszych.

Napisała E. Szelburg-Zarembina.

A tych fal jest mnogość nieprzeliczona, niezrachowana, niepojęta. Co jedna na brzeg morski wychynie i białym jęzorem piany piach obliże, już druga wali się za nią! Co jedna z mokrego piachu się cofnie, już druga przez grzbiet jej przeskakuje.

— A to ci...! a to ci...! — zachłystuje się z uciechy nawpół goły Piotruś w oknie i nagła chęć go porywa: pędzić do morza, brodzić w pianie na bosaka, nurzać się w tej wodzie przeczystej a chłodnej, dać się tym mocnym a wesołym falom turlać po piasku i skakać wyżej, niż to one robią przy brzegu.

Dalej więc! Trzeba się szybko odziać!

Zeskoczył Piotruś z okna, aby wdziać ubranie, a tu stuk — otwierają się drzwi.

Myk Piotruś do łóżka i patrzy ciekawie, jak przez drzwi wsuwa się biała tacka z dymiącym kubkiem, a za tacką wchodzi ta sama kobieta w czarnej chusteczce, która przyrządziła mu wczoraj wieczерę.

Kobieta postawiła pachnący kawą kubek na stoliczku przy łóżku i uśmiechnęła się do chłopca:

— Uzdrzałam *) przez okno, coś wstany. Zaru pomeszlałam, co-bys zjadł co i wypił.

Piotruś podziękował grzecznie troskliwej gospodyni i w gawędę się z nią wdał, choć nie wszystko odrazu mógł zrozumieć, co poczciwa Kaszubka mówiła. A mówiła dużo o wszystkim: o tem, że Piotruś na życzenie pana porucznika ma u nich, u Suliców przebywać cały mie-

*) Zobaczyłam przez okno, że wstałeś. Zaraz pomyślałam...

siąc, aż się opali, wzmocni, zahartuje, z morzem obezna i pływać nauczy się, jak ryba... że tego lata dużo letników zjechało nad morze i w pogodę cały piaszczysty brzeg, czyli plaża, jest przez nich, wylegujących się, zajęta... że jej synkowie, Jouzek i Jank, mogą dotrzymywać Piotrusiowi towarzystwa, ma się rozumieć wtedy, gdy nie będą ojcu przy rybach potrzebni... A może i Piotruś zechce kiedy wybrać się rybackim kutrem ¹⁾ na połów? Można będzie o tem stosowną porą pomówić z gospodarzem, z Sulicą. Tymczasem zaś...

Tymczasem Piotruś poprosił, żeby mu pozwolono ubrać się. Chce pobiec nad morze.

— Poźdejk ²⁾ — rzekła rybaczka i podała mu zamiast miejskiego garniturku, kuse trykotowe majteczki. — Wdziej! — powiedziała.

A gdy się Piotruś waha, uspokoiła go:

— Tu wszetci ³⁾ tak chodzą nad morzem.

Jaka to nowość radosna! Całe życie ścierało się nogi w za dużych, podartych trzewikach po twardym miejskim bruku, a teraz oto boso bo-siuteńko biegnie się po ciepłuteńkim, mieluteńkim piasku, przesypującym się tak śmiesznie pomiędzy palcami!

Jaka to nowość radosna! Dotychczas dźwigało się na grzbiecie ciasne, znoszone, połatane, zakurzone i zaplamione ubranie, a teraz oto na całym ciele czuje się gorące, zdrowe promienie słońca i rzeźwe, zdrowe powietrze.

Można się wreszcie ruszać swobodnie! Można dowoli biegać, skakać, fikać koziołki! Zanurzać się w gorzko-słoną wodę bez obawy zmoczenia, schnąć w jednej chwili i znowu się chlpać.

A potem, gdy się ma tego już dość, miło jest wyciągnąć się w piaszczystym zagłębieniu między kwitnącym złociście żarnowcem, bladą, szorstką trawą i fioletowymi mikołajkami. Ręczę pod głowę założyć, od-dychać pełną piersią, całemi płucami i patrzeć sobie to na pogodne, błękitne niebo, po którym żeglują białe obłoczki, to na pogodne, błękitne morze, po którym wałęsają się żółtawe, brunatne i białe żagle łódek, tak bardzo podobne stąd do obłoczków na niebie.

Już po tym jednym dniu, spędzonym nad morzem, nie poznałaby matka swojego Piotrusia. Opalił się na czerwono, jak rak (jutro już zbronzowieje) i poweselał, jak szczygieł.

Nie on jeden zresztą.

Pełno tu na plaży dzieci z różnych miast polskich. Przyjechały wszystkie, jak wymoczki, blade i nieruchawe, a teraz, niczem pchełki morskie, skaczą i rejuwają robią niemniejszy, niż morskie fale, grzechozące w zatokach żwirem i kamykami.

Niemają kłopotu mają z niemi matki i opiekunki, siedzące na brzegu w trzciniowych budkach, lub pod olbrzymiami, kolorowemi parasolami, jak pod grzybami z bajki.

Dalszy ciąg nastąpi.

¹⁾ Statek rybacki. ²⁾ Poczekaj. ³⁾ Wszyscy.

15)

TAJEMNICA HOGGARU.

Napisał L. Życki-Matachowski.

Ali, po raz pierwszy w ciągu tej wędrówki, odwrócił się do nas i, ukazawszy ręką ową bielejącą w nadchodzącym mroku wioskę, zawołał:

— Oto siedziba mego ojca, za chwilę będziemy na miejscu — i pognął wielbłąda, który popędził raźnie, czując odpoczynek.

Dolina ta, jak mogłem zauważyć, była łożyskiem dawnych, potężnych strumieni, które przebiegały tu jeszcze w czasach przedhistorycznych, żłobiąc sobie coraz głębsze koryto. Na obydwu brzegach tego dawnego strumienia rozłożyła się teraz wioska, przyklepiona do skał, w położeniu bardzo obronnem i niedostępnem. Na dnie doliny, wzdłuż naszej drogi, leżało główne łożysko zimowych powodzi, zaznaczone warstewką grubego żwiru i kamyków. Było ono całkiem płaskie. W jego środkowej rozciągłości od jednego gaju palmowego do drugiego błyszcząca tafla przejrzystej wody a naokoło brzegów wdzięczył się śliczny, choć wąski trawnik, bardzo gęsty i poprzerastany kwiatami. Zatrzymaliśmy się na chwilę w tem uroczem miejscu, by dać naszym wielbłądom napić się dosyta. Pojechaliśmy potem wgórę strumienia i niebawem znaleźliśmy się w szerokiej, otwartej ulicy.

Było już ciemno i wszędzie błyszcząły ognie, przy których przygotowywano wieczorny posiłek.

Ali skręcił wzdłuż jakiegoś muru ogrodowego, zbudowanego ze stwardniałego mułu, wjechał w mniejszą uliczkę i, zatrzymawszy się w pobliżu domu większego od innych, uderzył w bramę.

Otworzył nam niewolnik, trzymający w ręku szablę i na widok Alego wydał okrzyk zdumienia, wołając coś do niego w narzeczu Tuaregów. Ali odpowiedział mu w tem samem narzeczu, poczem dał hasło przykleknięcia wielbłądom.

Zeszliśmy na ziemię i Ali wziął nas za ręce, wiodąc w stronę domu, dokąd pobiegł niewolnik, by dać znać o naszym przybyciu. Weszliśmy do obszernej izby, pięknie przybranej dziełami sztuki maurytańskiej i jedwabnymi tkaninami i oświetlonej czerwonymi, szklanymi lampami. Naprzeciwko nas wyszedł starzec siwobrody, w białych, powłóczystych, jedwabnych szatach i powitał nas zwyczajem wschodnim, przykładając rękę do czoła, ust i serca. Następnie z powagą przywitał się z synem i wysłuchał w spokoju jego opowieści, chociaż widać było, jak ona go dotknęła.

— Niech wam dzięki będą — rzekł po francusku — za uratowanie od śmierci mego jedynego syna. Uważajcie mój dom za swój własny, a mnie za sługę swego.

Klasnął w ręce i ukazał się niewolnik, niosący na tacy zwyczajową kawę. Zresztą nie będę wam opisywał tych scen z życia koczowników, gdyż będziecie prawdopodobnie mogli się z nimi wkrótce sami zapoznać.

Dalszy ciąg nastąpi.



GAŁGANKOWA SZOPKA.

Napisala H. Moszyńska-Januszewska.

WSTĘP.

Nie można iść na jaselki — upadł ogromny śnieg.

Zamarzła tętniąca rzeka, skostniał wiślany brzeg.

— Do nas przyjdzie szopka ma-lutka. Sklecimy ją sobie sami z gałganków, z drutów, z patyków. Sami. Własnymi rękami.

Nic to, że czasem, jak kośląg ja-kaś kukielka wypadnie.

Z serca będziemy się starać; by było składnie i ładnie.

Jesteśmy zwykle niezdarki, więc się musimy ukorzyć.

Niechże wspomaga nas łaska i uśmiech łagodny Boży!

PASTUSZKOWIE.

Od czegoż, od czegoż zaczniemy — na miły Bóg?

Przypomnijmy, jak to było:

— Stał zamarzły stóg.

W nim — wtuleni, zakutani, by ich nie gryzł powiew,

jak wróblowie, bieduleczki, spali pastuszkowie.

Szron na słomę się osypał i w no-cy, jak klejnot się świecił.

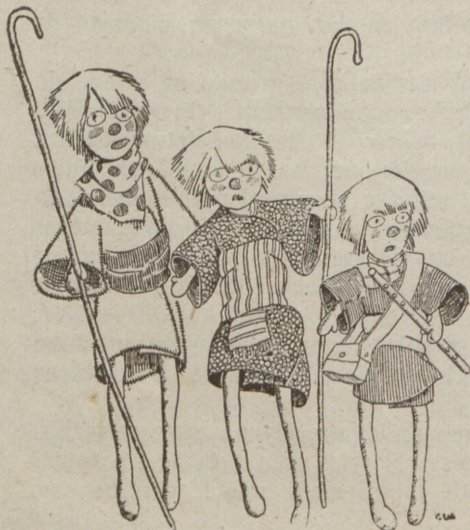
Trzebaby z gałganków miękkich pastuszków ubogich sklecić.

Nożyny będą mieli cienkie i dłu-gie, bo im jeść i pić mało dają, będą mieli włosy z pakuł płowe. Wypchamy ich twardą bają.

Będą te kukielki chude i pocziwe, z płowym nad oczami kosmykiem, trochę nieufne, trochę szare, tro-chę niemądre i dzikie.

Myślę, że pewnie cud wielki zbu-dzi i zdziwi ich czoła, gdy rozepniemy nad nimi

bibulkowego anioła.



ANIOŁ.

Gdzież jest batyst miękki, naj-
cieńszy?

Trzeba go rozwiać, rozdmuchać,
trzeba rozciągnąć skrzydła i w
puchy leciutkie chuchać,

aby się unióś w górę — najlżej-
szy — i piórami, jak ptak zatrzepotał.

Cały przejrzysty, z waty rozwia-
nej, z choinkowego złota.

Mamo! Jakąż ma śliczną buzię,
wyciętą z kalkomanji!

Gdy będziemy, jak aniołki dobre,
będziemy tacy sami

i uniesiemy się nad świat, aby za-
wisnąć w powietrzu — bezpieczne —
różowe i złotolokie...

Kiedy będziemy grzeczne...



TRZEJ KRÓLOWIE.

A teraz, mamo, daj nam, co masz
najbogatszego. Może te małe kolczyki,
od których bolą uszy?

Nie możemy wziąć — tak — byle
czego. — Trzeba nam króli uszyć!

Jeden ma twarz z czarnego jedwa-
biu, oczy wielkie i jak szkielka lśniące,
suknie z czerwonej wstążki sre-
brem (z cynfolji) kapiące.

Cóż stąd, że jedwab zleżały?
Wszystko na świecie ma wady.

Cynfolja też odwinęta poprostu
jest z czekolady.

To jest król murzyński z gorących
krajów, więc nie włożymy mu butów.

Za to ma w lewym uchu wspania-
łą obrączkę z drutu,

na szyi — drobne paciorki, bły-
szczące, jak łuski ryby.

Jest ten król trochę nieśmiały, bo
z bardzo daleka przybył.

Drugi król — to król arabski. Bu-
zię ma barwioną kawą.

Jest bardzo wielki i ważny, choć
wypadł trochę koślawo,
bo nie starczyło satyny na bur-
nus — to jest — płaszcz biały, jak
śnieg
i trochę na lewo go skrzywił ścia-
gnięty, niesforny ścieg.



Trzeci król będzie bardzo barwisty, podobny do Turka ze sklepu.

Turban z jedwabiu piastuje na samym czubku czerepu.

Tyle na nim choinkowych świecideł, aż się od nich ugina, jakby był słaby.



GREGORJANEK.

Coby to była za szopka, żeby nie było w niej żaczka!

Ale żaczka trudno uszyć.

Pomoże Amelcia-szwaczka.

Pomóż — droga Amelciu! Zrób rękawy z bufkami, przecięte, płaskie i śmieszne pantofle, nieco do góry podgięte.

Gdy go skończysz szyć, my go trochę przykurzymy, żeby nie był taki świeży.

Wiadomo przecież: żaczek nie wygląda nigdy, jak należy.

To będzie gregorjanek - żaczek, żaczek - powsinoga.

Niech tam stanie pokorniućki przy stajence Boga.

Wprawdzie jest za niegrzeczny na szopkę. Ale go puścimy. Wystroimy go w kabat z welwetu.

Niech zaśpiewa po łacinie — Pochwalony — Laudetur.

KRAKOWSKA GOSPODYNI.

Moja mamó, moja droga! Znowu nowa troska!

Jak to będzie wyglądała — gospo-sia krakowska?



Będzie krótka i pękata, jak czerwona dziezka,

zadzierzysta, obsadzista, dobroduszna śmieszka.

Spódnicę jej damy z wełny zieloną, jak szpinak

i chusteczkę, którą koral piękną broszą spina.

Koszyk z łyka pod ramieniem, fartuch kolorowy.

Nos zrobimy jej do góry i — mocno różowy.

Bo wam powiem w małe uszki, lecz to sekret wielki:

— Gospodyni lubi czasem zajrzeć do butelki...

PAN TWARDOWSKI.

A to będzie Twardowski — czarodziej i szafawiła.

Sama go mama z atlasu i z zamszu pięknie uszyła.

Jest też wspaniały, jak nikt! Buty ma piękne, palone,
czuprynę dziką, rozwianą! Wyloty ciemnoczerwone.

Ach! Jak on pięknie się zgina!
Jak zwinnie umie podskoczyć!
Pałą mu się iskrami oczy! Ogniste oczy!

Panie szlachcicu, stój!
Bo nam z rąk się wyrwiesz, kukielko dzika,
za sprawą jakąś nieczystą! Za sprawą czarnoksiężnika!



ŻYDOWSKA KAPELA.

Żydowska kapela — biedne Moški chude
będą mieli czarny chałat, śmieszne pejsy rude.

Trzebaby ich wpuścić chyba do chrześcijańskiej szopki,
by śmieszli Dzieciąteczko przez skoki i hopki.

Niech zagrają na basetli, na cienkich cymbałach,
by się Marja, jako dzwonek srebrzyście rozśmiała.

Niechże będzie u wrót stajni i nędzny i brzydki
i te chude muzykanty: niedowiarki-Żydki.



ZWIERZAKI.

Owca z wełny się odzywa:
— Ach, jaka jestem szczęśliwa!
Mogą mnie już zabić noża uderzeniem —
Widziałam Narodzenie!

Bezczałam przy żłobku: — O, Jezu malutki,
jestem sobie głupia owca, mam swe bóle, smutki,
ale szczęście mnie spotkało, małeńki Panie,



żeś podzielił ze mną nędzną w staj-
ni postanie.

Wół oczy wielkie przymyka,
małeńkie koźlą pokrzyka,

kogut sroży się, jak herold królewski,
co gada do gminu
i pieje po łacinie na cały świat
głośno:

— DO - MI - NUS!

HEROD.



Ach, jaka straszna jest zazdrość!
Jak pali zawistny ból!

Kukła o strasznym spojrzeniu —
to jest zły Herod-Król.

Ma czarny łeb z pakuly, oczy, jak
węgle i siarka.

Złęka się jego niania, praczka
i nawet kucharka!

Wargule ma, jak u żaby, i miecz
ze szczyryka,

strach bierze spojrzeć na niego.

Oczy, jak kocur przymyka — — —

Niech się nam tutaj nie płacze
straszny, zbrodniczy i błady!

Lepiej tymczasem go zamknąć do
starej, ciężkiej szuflady.

ŚMIERĆ I DJABEL.



Śmierć z drutu i czart z sukna
tak z sobą rozmawiają:

— Waćpani, wyostrz kosę, tu
szopkę wyprawiają.

Jaselki się rozpoczną. Już i wi-
gilja blisko.

Już tam drży Herod-podlec! Ja
czuвам! Ja! — Djabliisko!

Śmierć piska złym głosikiem, jak
komar w noc czerwcową.

Ciesz się i sposobi na głowę he-
rodową.

Djabel jęzor wywiesił. Jak kot się
czarny sroży.

Ciesz się na brewerje, gdy szop-
ka się otworzy.

Jak to teraz wszystko ustawić?
Jak się to wszystko zrobi?

Żeby się nikt nie obraził, by nikt
nikogo nie obił?

Gregorjanka nie stawcie przy Żyd-
ku, bo go praśnie, lub co złego powie.

Gospodyni od żaczka daleko. Przy
Twardowskim stać mogą królowie.

Obok króli — Jasia wojsko ołow-
wiane. Tuż dalej pastuszki, zwierzęta.

Trzeba też będzie o Żydkach
i o muzyce pamiętać.

Śmierć da się może ugłaskać i dja-
bla się uspokoi...

Mogą być niedaleko. W którymś
z najbliższych pokoi.

Potem się jasną latarkę w gwieździe z bibułki zapali.

Tylko Heroda trzymajcie najdalej — ach — jak najdalej!

ŻŁOBEK.

Teraz — Dzieciąteczko wytniemy z najpiękniejszego obrazka, włożymy w żłobek z pudelka, będziemy z radości klaskać!

Matkę Boską z figurynki owiniemy w jedwab niebieski, włożymy na główkę wianek — wianek królewski.

Nad Nią chyli się sfrasowany święty Józef i myśli, jak uciec do Egiptu, jak na to poradzić.

Siwy, łagodny, pogodny — trochę podobny do dziadzi.

A my, widząc, jak nam z pod rąk świętość wyrosła, jak nam Szopkę rozjaśnił blask i splendor,

będziemy chwalić godzinę cudu starą kolendą:

— W żłobie leży...

KONIEC.



BOSA DZIEWCZYŃKA.

*Daleko, na skrócie ulicy
jest mała, bosa dziewczynka,
co stoi tam zawsze i żebrze
na pewnej wąskiej ulicy.
Daleko, na pewnej ulicy
stoi wciąż biedna dziewczynka,
a ludzie przechodzą i patrzą
na szarej, smutnej ulicy.*

*Na smutnej, dalekiej ulicy
ludzie mijają i widzą
biedne nożyny zziębnięte
na mroźnej i złej ulicy.
Daleko, na skrócie ulicy
niema już małej dziewczynki:
zbyt zziębło małeńkie serduszko
na pustej, szarej ulicy...*

ZOFJA KRAJEWSKA-CZAPLIŃSKA.

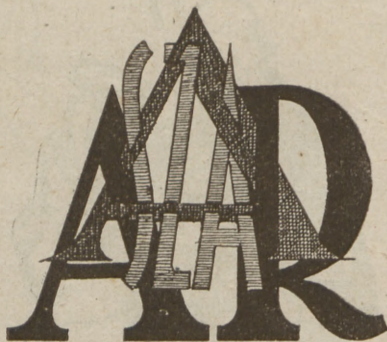
BAŚŃ ALINY KWIECIŃSKIEJ W „JASKÓLCE”.

Teatr dla dzieci „Jaskółka” wystawił barwną baśń sceniczną Aliny Kwiecińskiej ze śpiewami i tańcami p. t. „Serce Hanki”. Po kilkakrotnym odegraniu bajki w kinie Hollywood — przedstawienie to będzie powtórzone w lokalu kina „Kometa” Chłodna 49 w okresie świątecznym, począwszy od dn. 26 b. m.

Kto mieszka w tej okolicy, niech postara się zobaczyć „30 krasnoludków”. Bilety od 50 gr. do 2 zł. Większym grupom szkolnym ustępstwo.

Dział rozrywek.

REBUS.



SZARADA 1. (Ułożyła Z. S.).

*Pierwsze drugie ważne dla człowieka,
bez tego on biedny jest kaleka;
widzimy na polach tylko w lecie
ustawione gęsto drugie trzecie.
Na wojnie, dla ochrony żołnierzy
są wszystkie, tam szukać ich należy.*

ZAGADKA SYLABOWA 1. Ułożył W. R.

Pół Gopła, pół kamyka, — *cały* dobrze
znacie
i zawsze go co tydzień ciekawie
czytacie.

SZARADA 2. (Ułożyła A. S.).

*Pierwsze drugie ujrzeć można;
zdejm pokrywkę, lecz zostrożna.
Trzecie nuta dobrze znana,
w gamie zawsze jest śpiewana.
Pierwsze czwarte w magazynie,
w dużym sklepie, albo w młynie.
Czwarte pierwsze stół okrywa.
Drugie czwarte, gdyś wstydliva,
zawsze spieczesz na policzku,
ujrzeć można też w strumyczku.
Czwarte drugie czeka tego,
który czyni wiele złego.
Razem — to rzecz znana przecie,
bo ją panie noszą w lecie.*

ZADANIE SYLABOWE 2. (Ułożył W. R.).

Weź jedną sylabę z zdania każdego,
a tytuł ułóżysz wiersza znanego.
1. Poszła na łąkę. 2. Do wrót
dziecko bieży. 3. Chata już blisko.
4. Tu motyka leży.

SKŁADANKA.

Zabierz dwie z *salatery*,
z *Wendów* zaś trzy litery,
dwie dadzą *Kordyljery*.
Kiedy posiadasz liter tyle,
możesz z nich złożyć w jedną chwilę
nazwę roślin, co pachną mile.

HALLO! TU MÓWI DO WAS RADJO!

Programy dzisiejszy i sobotni przeznaczone są dla dzieci młodszych. Na audycję dzisiejszą (14.XII, g. 15.35) złożą się ciekawe „zagadki i szarady”, dyktowane dzieciom przez zawsze wesołego wujaszka Ładosza oraz „Wielka mowa do małych dzieci”, którą wygłosi wielki przyjaciel dźwięku, p. Kornel Makuszyński. Jego „Bardzo dziwne bajki” na pewno znacie. P. Makuszyński to bardzo kochany człowiek i napewno jego „Wielka mowa” — wesoła i serdeczna — trafi do małych serduszek. „Czapka — niewidka i pateczka — nieruchomska” to tytuły sobotniego bardzo zajmującego słuchowiska dla dzieci.

Niedzielnny program (18.XII, g. 16.00) przeznaczony jest dla młodzieży i dzieci starszych, które oprócz radjowej gazetki „Co się dzieje na świecie” usłyszą słuchowisko p. t. „Niewidomy gość”. Będzie w niem mowa o najniezwyklejszych chyba z pośród dzieci: o dzieciach niewidomych.

Czwartkowy (15.XII, g. 12.35) koncert dla młodzieży i sobotnia audycja szkolna ze Lwowa o g. 13.15 uzupełnią program bieżącego tygodnia radjowego.

DO DZIECI W PROKOCIMIU. Czy otrzymaliście nasz list, wysłany pocztą? Czy już się nie gniewacie? Pozdrowcie Waszą Panią.

TADEK ZAWADZKI, WARSZAWA, PIĘKNA 57, posiada duży zbiór znaczków pocztowych i pragnie niektóre znaczki zamienić na inne. Może który ze zbieraczy skomunikuje się z nim w tej sprawie?

DO URSZULI NAWROCKIEJ Z GRZYBNA. Skąd masz tę historyjkę „o sprytnym Janku”?

DO DZIECI W CIEMNEM. Przepraszamy za pomyłkę.

MELON TADZIA.

Jak już wiecie z Nr. 3-go, pierwszy na pytanie w sprawie wyhodowania melonu w butli odpowiedział Tadek Zawadzki i on, jako *pierwszy* (a taki był warunek) dostał od „Płomyka” melon. „Płomyk” ogromnie żałuje, że nie może rozstać melonów więcej, ale trudno! zawsze ktoś jeden zgodnie pierwszy.

Zaraz potem nadeszły listy z odpowiedziami, które przysłali następujący Czytelnicy: Tadzio Skwarski, Marysia Józwiakówna, Renata Timberzanka, Hania Łabecka, Władzio Grzędzielski, Blanka Kaczorowska, Jaś Mieczkowski, Haneczka Bąkowska, Hania Borkiewiczówna, Marylka Prybówna, Krysia Malska, H. Stańczyk, Henio Chmielewski, Józio Borkowski, Małgosia Korngoldówna, Zdzych Szmal, Zosia Tłustówna, Janka Siderska, Kamilka Brukańska, Genio Smalec, Zdzych Dyłaq, Sabcia Żelazówna, Anielka Guttówna, Renia Kulikowska, Tadzik Piechocki, Tadek Topolski, Marjan Twardowski, Jacek Albrecht, Marja Żółkiewiczówna, Krysia Baarówna, Ania Gruberówna, Sabcia Lewiówna, Karolek Skubiszewski, Bogdanek Smoliński, St. Raczko, Irenka Boczkowska, Lusja Gliksmanówna, Wiktor Mikułowski, Ela Paprocka, Lech Klimek, Janka Pajakówna, Bohdan Jaworski, Staś Bielański, Zdzisio i Jaś Maćkowscy, Grażyna Biesiadowska, Danusia Drobniaówna, Krysia Chruścielówna, Hirus Sych, Wandzia Stanisłówna, Miecio Borodziej, Zosieńka Czaporowska, Staś Trzeciak, Tadzio Janica, Hala Jadachowska, Basia Nowakowska, Haneczka Tenenbaumówna, Oleńka Tatomirówna, A. Olech, Janka Trembińska, Hela Kleczeńska, Janek Wawra, Hala Andrzejewska.

Następna poczta przyniosła 52 odpowiedzi, a jeszcze następna 108. Sami widzicie, że niema miejsca na drukowanie wszystkich nazwisk.

Dalszych odpowiedzi już nie liczymy. Trzeba sprawę skończyć.

Ciekawi jesteśmy, czy dużo naszych Czytelników spróbuje w roku przyszłym w podobny, jak Tadek, sposób wyhodować melon, arbuz, ogórek lub dynię.



WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

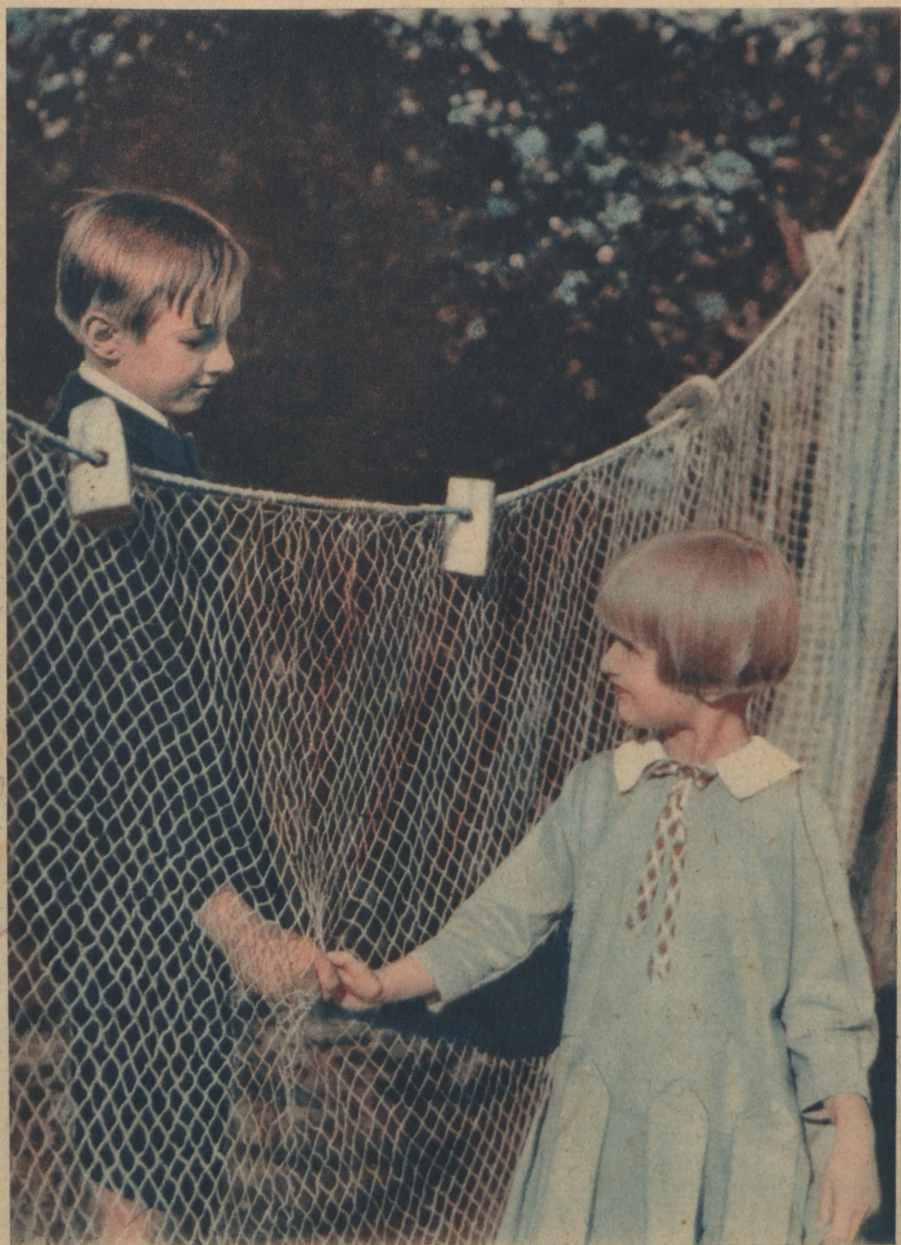
№ telefonu administracji 322-18, redakcji 760-40. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.
Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Dzień dobry!